Świat powieściowy.

Nr. 126 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

Roskoszne to było gniazdko buduar Pauli złotowłosej! Wszystko co mogło usłać go miękko i czarownie, było tam zgromadzone. Ściany koloru błękitnego były złotemi gwiazdami zasiane, a od sufitu, przedstawiającego jasne obłoki, zwieszała się na srebrnym, grubym łańcuchu, różowa, alabastrowa lampa, rzucająca w tej chwili przyćmione światło naokół. Puszysty kobierzec o kwiatach różnobarwnych zaścielał cały pokój, i w nim tonęły małe nóżki w różowych, atłasowych buciczkach, ślicznej królowej tego przybytku. A śliczną była w tej chwili, śliczniejszą z naturalnemi wdziękami, jak w sztucznem przekształceniu scenicznem. Pół leżąc na niebieskiej, aksamitnej ottomance, zamyśliła się widać roskosznie, bo purpurowe usteczka uśmiechały się czarownie jakiemś wspomnieniem, które i różowe lica silniej okrasiło, a oczom dużym, czarnym, ognistym, ujęło coś z wulkanicznego żaru, przysłaniając je jedwabnemi, długiemi rzęsami. Różowa, wiotka suknia, osłaniała jej toczystą kibić, a przez przejrzystą tkaninę przezierały śnieżne, krągłe ramiona i gors jak z puchów łabędzich.

Paula dumając roskoszowała w swych marzeniach. Po długiej chwili wyciągnęła malutką raczkę, która jak pieścidełko z alabastru i świecących kamieni, wysunęła się z szerokiego rękawa obnażona po łokieć, i dotknęła się srebrnego dzwonka. Nie przebrzmiał jeszcze jego odgłos, gdy w drzwiach stanęła zgrabna subretka o zadartym nosku, ciekawych oczętach, a domyślnym uśmiechu — istne dziecko Warszawy — bo Paula od czasu znajomości z Arnoldem oddaliła Nanny, a przyjęła na jej miejsce ładną i wesołą Zosię.

— Która godzina Zosiu? — zapytała Paula i wyciągnęła się wygodniej, a przy tem poruszeniu figlarka sukienka odwinęła się tak niegrzecznie, że aż błysnęła biała, jedwabna pończoszka nad różowym bucikiem.

— Szósta za pięć minut, proszę pani. Czy pani może dziś występuje? — zapytała.

— Nie, nie! I co powiesz, że nawet jestem nader zadowolona z tego wypoczynku, ja, która tak tęsknię za sceną?!

Zosia uśmiechnęła się domyślnie.

— Pana Arnolda tylko co nie widać — rzekła.

— Ach! gdzieżtam! gdzieżtam! przyjdzie dopiero o siódmej! — mówiła pieszczocha losu z żalem. — Cóż ja do tego czasu robić będę?! Zosiu, powiedz prawdę, możee mi brzydko w tej sukni? może ubierzesz mię w inną?... Zosiu — czy ja ładna? — powiedz prawdę! Daj mi źwierciadło... Pochlebnico! podałaś jakieś inne — zaczarowane! O! zostanę już w tej sukni — dobrze mi tak...

— Czy pani spodziewa się więcej gości? — zapytała złośliwie dziewczyna.

— A, broń Boże! Pamiętaj, że dla wszystkich drzwi moje zamknięte! Dla wszystkich bez wyjątku — rozumiesz?

— Rozumiem — odrzekła Zosia i figlarnie westchnęła. — Biedny pan Arnold!

— Jakto? dlaczego? — i zerwawszy się stanęła na dywanie przestraszona Paula.

— Wszak pani powiedziała, że drzwi zamknięte dla wszystkich bez wyjątku...

— A, szalona! — zawołała. — On niema nic wspólnego z innymi — ze światem — z nikim — dla niego jestem zawsze!... On mój, mój, mój jedyny! — i namiętnie drobnemi dłońmi cisnęła serce. — Słuchaj Zosiu, czy ty kochałaś kiedy, czy ty wiesz co to znaczy miłość? O, ja bardzo szczęśliwa! — ja go tak kocham, tak bardzo, tak mocno, że niema słów na oddanie całej tej miłości,

że serce ludzkie nie zdołało by jej więcej pomieścić!...

— A on? — szepnęła szatan-dziewczyna.

— A on pytasz się? czy on mnie kocha? Doprawdy, jesteś szalona! Nie zastanawiałam się nawet nad tem, tak jestem pewna jego miłości! Mógłżeby zresztą mnie nie kochać! — dodała stojąc przed wielkiem źwierciadłem i uśmiechając się zwycięzko, dumna ze swych wdzięków.

— Paulo! pani moja! — szepnął jej w różowe uszko znany głos kochanka, który niepostrzeżony wszedł przez nieprzymknięte drzwi, i objąwszy ramieniem, przycisnął do piersi śliczną dziewicę. Zosia rozśmiawszy się wesoło, uciekła, tym razem dobrze drzwi zamykając za sobą.

— Przyszedłeś prędzej mój drogi! mój najdroższy! śliczny! najśliczniejszy! — wołała dziewczyna zarzucając mu białe rączęta na szyję. — O! myślałam, że będę czekać do siódmej! Umierałam z niecierpliwości i nudów! Co robiłeś? byłeś może na próbie?... Czy ty mnie kochasz? Arnoldzie, nie przyszło mi nigdy na myśl zapytać ciebie, czy mnię kochasz? Ale ty mnię kochasz — prawda? Dlaczego zresztą nie miałbyś mię kochać? Jestem piękną, tysiące unosi się nad mojemi wdziękami, tysiące mnie uwielbia!... a ty? — prawda że mnie kochasz? — a głos jej był pieszczotliwy, drżący, namiętny.

— Och! Paulo! Paulo! — odszepnął młodzieniec. — Potrzebujesz-że ty pytać mię o to? potrzebujesz-że słów wyznania? Czemże jest słowo, tysiące słów, w porównaniu z uczuciem, które rozpiera moje piersi! Czy ja ciebie kocham, Boże mój! ona się pyta czy ja ją kocham! Na, masz odpowiedź, masz, masz, i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze — i rozgorączkowany ułożył ją na ottomance, a klękając całował jej czoło, oczy, usta, całował każdy paluszek z osobna, i różowy trzewiczek, i włosy złociste, i kraj sukienki przejrzystej, a czarowny szatanik przyciągnął gorącemi rączkami głowę kochanka, i rozpalonemi usty oddawał szalone całunki.

W tych namiętnych uściskach Arnold szepnął cicho i smętnie:

— Chciałbym tak umrzeć — ot tak, cisnąc cię do serca, całując twe usta...

— Umrzeć! och! ja się boję nawet tej myśli! — odrzekła Paula z przestrachem prawie. — Umrzeć, gdy świat taki piękny, gdyś ty koło mnie, przy mnie, ze mną, gdy jesteśmy szczęśliwi?! Umrzeć? — albośmy starzy, albo się nie kochamy? O, nie! nie umierać, ale żyć nam potrzeba! Myśli o śmierci niech będą od nas zdaleka, wszak nam tak dobrze, tak dobrze! Przecież nie jest ci źle ze mną, koło mnie? Siądź tu jeszcze bliżej, uściśnij mnie jeszcze czulej, silniej, goręciej, i powiedz wtedy, czy chcesz umierać?...

— Chcę życia! — chcę ciebie! — zawsze ciebie! — dziś! — jutro! — nieskończenie! — kocham cię wiecznie! kocham szalenie! — szeptał wśród pieszczot, w których tonęło dwoje kochanków-szaleńców!

I tak upływała godzina za godziną, dzień za dniem. Oboje kochali, a oboje inaczej. Miłość Pauli z całym jej szałem, czyniła ją coraz piękniejszą, roskoszniejszą. Zdawało się, że tego tylko uczucia brakowało, by stała się rzeczywistą kobietą, upajającą czarodziejką, syreną zwodniczą. Miłość nie przeszkadzała jej jednak w artyzmie — kochała Arnolda na równo ze sceną, z oklaskami, z tryumfami. On, Arnold, w bezmiernym szale zużywał siły moralne. Był przy niej, miał ją przy sobie, a tęsknił, pragnął, lękał się — czego? — każdej chwili, która go oddzielała od niej, tłumu, który ją otaczał, lękał się siebie, lękał się jej, jej piękności, swej szalonej miłości — wszystkiego! Chciałby ją mieć dla siebie tylko, porwać na ręce i uciec z nią daleko, za góry i lasy, za morza szerokie, gdzie ludzka jeszcze nie postała stopa, gdzie ludzkie nie dosięgnie oko, gdzie w okół tylko niebo bezgraniczne, gdzie nawet świegot ptaszyny nie przerywał by szmeru ich słów miłośnych, gdzie ani słońce ani gwiazdy nie odbierałyby mu jej spojrzenia. Tam żyliby w ciągłem upojeniu miłośnem, stanowiąc jedno ciało, dzień poczynając i kończąc w wzajemnym uścisku, usta przy ustach, serce przy sercu... On uwięziłby ją w swych ramionach, spowił łańcuchem miłości, i niechby spróbowała uciec! — wycałowałby oczy i nie znalazłaby drogi, ustami zamknął by jej usta, i nie mogłaby wołać o ratunek... Stałby się jej piastunką, nosiłby ją na rękach, by drobnej nóżki nie skaleczyła, i świat by się skończył, a miłość ich nie skończyłaby się! A gdyby zatęskniła do świata i ludzi, gdyby go chciała porzucić — zdradzić, to by ją zabił, lecz nie oszpecając ślicznej twarzyczki; — piłby krew jej, a ona choć zimna i martwa, byłaby zawsze jego najdroższą, jego ukochaną,

jego jedyną miłością...

Tak marzył Arnold poeta, i bladość po spędzanych bezsennie nocach oblekała lica; włosy piękne, lśnące, ciemne włosy rzadły u czoła; oczy tracąc blask młodości, paliły się i wypalały ogniem namiętności.

I znowu był wieczór, jasny, ciepły wieczór wiosenny, o miljonach gwiazd w przestworzu, o cichym szmerze wiaterka, który zdawał się coś szeptać miłośnie kochankom, a księżyc srebrny, pogodny, jakby drocząc krył się i co chwila znowu wyzierał ciekawie, co się też dzieje na ziemi. Aż się wysunął cały, by mu łatwiej było wszystko objąć spojrzeniem, bo wiele rzeczy było do widzenia, a kończąc swój przegląd wsunął się przez otwarte okno i przez pajęczą tkaninę firanki do saloniku Pauli i szkaradnik zazdrośny wśliznął się pomiędzy usta kochanków i okradł Arnolda z jednego całusa, musnąwszy promieniem jej usta. Ale co ich tam księżyc obchodził! właśnie też mieli czas myśleć o nim! Arnold pieścił i całował swoje bóstwo, wpół rozebrane z fantastycznego przystrojenia teatralnego, w którym dopiero co wróciła do domu. Właśnie poczęła się rozbierać gdy nadszedł Arnold i dzieciak kapryśny nie pozwolił już skończyć. Za długo było obojgu czekać na siebie, więc wziął ją na ręce i przeniósł z drugiego pokoju białym muślinem owianą, zdjął świecący złotem i drogiemi kamieniami djadem z jej czoła, a natomiast rozrzucił złote płomyki na skroni, które falowały pod jego oddechem; zmęczone, drobne, śliczne nóżki uwolnił od obcisłych, białych, atłasowych trzewiczków, a cisnąc ją do siebie, ją śliczną i drżącą, pytał:

— Czy zimno ci najdroższa? — i ogrzewał objęciem, tchem, miłością.

A ona miękła jak wosk w jego ramionach, topniała jak śnieg pod promieniami wiosennego słońca, rączki jej pałały, głowa płonęła ogniem, a drżenie febryczne wstrząsało łonem z puchu łabędzi.

I minął wieczór jak wszystko mija na świecie. Arnold wyszedł pijany więcej jak zawsze. Przyszedłszy do domu oszołomiony, utonął w roskoszy minionej chwili i zasnął nierozebrany, przy niezgaszonej lampie, przez sen szepcąc:

— Najdroższa, jedyna...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XXVII.

Węglarka siedziała jeszcze dość długo przed kominkiem, zgarbiona, z łokciami na kolanach, a chociaż wcale się nie ruszała, sen jej nie zmorzył, tylko widocznie ciężkie myśli po głowie się tłukły, bo od czasu do czasu stękała, wzdychała, mrucząc z cicha jakieś słowa bez związku, z widocznym niepokojem.

Wyszła wreszcie o czwartej popołudniu, jak to co dzień czyniła, aby w parku nazbierać suchych gałęzi.

Wróciła zmrokiem dopiero, objuczona pękiem sporym chrustu i całą płachtą trawy, którą przy tej sposobności dla krówki sierpem narżnęła. Zrzuciła ciężar przed domem i zawołała na chłopaka, żeby jej pomógł znieść gałęzie, i trawę krowie za drabinę założyć w stajence, do domu przytykającej. Nikt atoli z domu nie wyszedł. Pawełek skorzystał zapewne z niebytności starej, aby pobiegnąć do wsi na bijatykę z innymi chłopcami.

Mrucząc gniewnie jakieś przekleństwa — na łotra! urwisza! który nigdy w domu nie posiedzi! — sama trawę krowie zaniosła, a gałęzie na dworze zostawiwszy, zaczęła gramolić się z trudnością na schodki ganku.

Już i na dworze ciemno się robiło, a w izbie, przy zamkniętych okiennicach, noc czarna panowała.

Po omacku znalazła zapałki na kominku i kawałek łojówki w lichtarzu żelaznym. Potarła zapałkę o płaszcz wełniany i świeczkę zapaliła.

Zdawała się być więcej zaniepokojoną, niż kiedykolwiek. Odwidziny Armanda nie pozostały bez skutku widocznie. Chociaż niezwykłej siły i energji, mimo wieku podeszłego, i mimo płci za słabszą uznanej, była nadzwyczaj czułą na wszelkie strachy i upiory. Jak ogół chłopstwa ciemnego, wierzyła święcie w różne gusła i zabobony, mogące wywołać z grobu umarłych.

Kręciła się bezmyślnie po izbie, a chociaż wieczór był nadzwyczaj ciepły, dreszcz nią wstrząsał. Przyniosła gałęzi, i dmuchając z całej siły, rozpaliła szybko ogień na kominie. Skoro drzewo suche buchnęło jasnym płomieniem, i oświetliło izbę fantastycznie, zgasiła świecę. Ogień na kominie wystarczał jej najzupełniej.

Poszła do drugiej izby po kociołek z wodą, aby zwyczajem chłopów bretońskich, zawiesić go nad płomieniem, na haku wbitym w głębi okapu nad kominem. Chciała zgotować w nim ziemniaków na wieczerzę. Gdy przechodziła koło łóżka, zadrżała. Zdawało jej się, że rusza ktoś firankami, z zielonego, wypłowiałego merynosu, które przecież rano starannie zasunęła.

Stanęła wyprostowana, jakby się do walki gotowała. W tym ruchu gwałtownym, kapiszon spadł jej z głowy, odkrywając całą strzechę włosów posiwiałych a twar-

dych jak druty, od których dziwnie odbijała twarz śniada, z kośćmi mocno wystającemi, z oczami buremi, z jam głębokich świecącemi blaskiem żółtawym. Źrenice, trwogą szeroko rozwarte, wlepiła w łóżka firanki.

Cofała się ku drzwiom drugiej izby, nie spuszczając jednak z oka tego miejsca zaklętego, które jakąś siłą nadprzyrodzoną, wzrok jej przykuwało.

Już plecami dotykała się drzwi przyległych, gdy do jej uszu niby jęk cichy doleciał. Jęk czy westchnienie, znowu z kąta ciemnego z po za firanek wychodziło.

Wróciła się napowrót. Szła coraz wolniej, z rękami naprzód wyciągniętemi, z włosem od strachu zjeżonym, wzrokiem błędnym w łóżko się wpatrując.

Zawahała się, będąc już tylko o krok od łóżka. Wreszcie, jakby chciała raz skończyć z trwogą śmiertelną, która ją za gardło chwytała, rzuciła się naprzód, i szybko firanki rozsunęła.

Krzyk przeraźliwy wyrwał się z jej piersi! Zatoczyła się jak pjana, i o stół dębowy oparła, jęcząc głucho.

Z pomiędzy firanek rozsuniętych, ukazywała się twarz blada, z czarnym włosem w nieładzie spadającym, z wyrazem bolu srogiego na ustach ściśniętych kurczowo. Była to postać Marietty umarłej.

Podniosła się teraz zwolna, ubrana tak, jak ją kładli do trumny, wlokąc za sobą całun pogrzebowy, to jest: kapę czarną srebrnemi gwiazdkami zasianą. Taką kapę miała istotnie Marietta, gdy ją do grobu spuszczali.

Głuche milczenie zapanowało. Słychać tylko było oddech przyspieszony i świszczący węglarki, która w trwodze śmiertelnej, jedną ręką stołu się trzymała, drugą oczy sobie przysłoniła, aby nie patrzyć na strasznego upiora.

Widmo stanąwszy na nogi, posuwało się zwolna ku stołowi, a tak cicho, jakby płynęło w powietrzu. Zatrzymało się przed samą węglarką, szepcząc głosem podziemnym: — Poznajesz mnie?

A gdy ta nic nie odpowiadała, niema i bezprzytomna:

— Tyś mię zamordowała! — widmo dalej słówko po słówku cedziło. — Wkrótce zawezwę cię przed Sąd boski! Pamiętaj, że przed Bogiem nic się nie ukryje! Jeżeli nie chcesz gorzeć w mękach piekielnych przez całą wieczność, wyznaj zbrodnię tu na ziemi. Niewinny pokutował, niewinny do dziś jeszcze za ciebie pokutuje. Musi być pomszczony! Nie wyznasz wszystkiego komu się to należy, przyjdę jutro, pojutrze, w dzień i w nocy! Którędy pójdziesz, gdzie się tylko ruszysz, będę wiecznie przed tobą, przed tobą, któraś mię bez litości zamordowała!... Sprowadź sędziów, wyznaj szczerą prawdę!... jeden fałsz! jedno kłamstwo! a wrócę!... Rozumiesz? wrócę! wrócę!...

Marietta Torquenié wymówiła słowa ostatnie tonem groźby, z ustami zaciśniętemi i z okiem dziko płonącem. Ręka jej, jak lód zimna, dotknęła się czoła węglarki. Stara z głuchym jękiem, z ramionami rozkrzyżowanemi, upadła twarzą do ziemi.

XXVIII.

Nazajutrz zrana powóz toczył się szybko z Rennes koło parku d'Albray, i zatrzymał się przed leśniczówką. Wysiadł z niego Armand i dwóch urzędników sądowych.

Dodnia wpadł do Mesnil Pawełek, opowiadając cuda o starej Genowefie. Dzieciak był naprawdę przestraszony.

— Oj proszę pana — głośno lamentował — moja stara już do reszty zwarjowała! Uciekła z domu na całą noc! Kucznęła w stajence, i tam do rana przesiedziała! A rano tak do mnie przemówiła: — „Ruszaj chłopcze do tego adwokata w Mesnil, żeby duchem przyjeżdżał z tymi, co to są od sądu." — Niechże się też pan spieszą dla Boga! bo starej Dalibóg! nie wiele się należy! Ino trochę jeszcze ciepła! a tak jej coś się stało we środku, że na nogach utrzymać się nie może! Żebyśmy ją aby żywą zastali! Jejby właściwie księdza trzeba, ale kazała mi tutaj lecieć, toć ja i przyleciał!

Armand odesłał chłopca, obdarzywszy na drogę półfrankiem, i natychmiast wybrał się do Rennes.

Poszedł do dwóch dobrych znajomych i przyjaciół, którym mógł zaufać w zupełności. Wtajemniczył ich we wszystkie szczegóły tej dziwnej sprawy, opowiedział, ile mu zależy na zeznaniu węglarki i jakiego użył fortelu, aby ją zmusić do tego.

Wyuczywszy Joasię doskonale całej roli, chyłkiem, po za ogrody, zaprowadził ją na leśniczówkę, tak ubraną i z taką kapą, czyli całunem, jakich w Bretonji dla majętniejszych używają. Te wszystkie szczegóły miał od Jakóba. Podobieństwo nadzwyczajne córki do zmarłej, posłużyło wybornie. Genowefa tak się przelękła, że nawet do domu więcej wrócić nie chce, i niezawodnie prawdę odkryje, byle nie dać jej czasu do namysłu, i niedopuścić zetknięcia z hrabią de Trameillan. Zresztą może ją strach zabić przed czasem, i tajemnicę do grobu poniesie!

Nie tracąc ani chwili, zabrał więc dwóch potrzebnych mu urzędników, i co konie mogły wyskoczyć, popędzili do leśniczówki.

Na progu czekał już na nich Pawełek, niemym ruchem wskazując węglarkę skuloną na ławce w ogrodzie.

Przemocą niemal wciągnął ją Armand do izby z łóżkiem, gdzie już tymczasem Pawełek na rozkaz urzędników okiennice pootwierał, stół starł, i z torby dostał im papiery potrzebne, atrament i pióra. Posadził staruszkę na fotelu przed kominkiem, i dalej za rękę trzymał, żeby mu się przypadkiem nie wymknęła. Trzęsła się jak w febrze, i kapiszonem niemal całą twarz sobie zasłoniła.

— Posyłaliście po nas, cóż nam chcecie powiedzieć kobieto? — spytał Armand tonem surowym i energicznym.

Nic nie odpowiedziała. Powtórzył pytanie jeszcze głośniej.

— Nic nie chcę... niemam nic do powiedzenia!... — mruknęła gniewnie.

— A jednak było wam bardzo pilno nas zobaczyć!

— Muszę wprzód z panem się rozmówić...

— Z jakim panem?

— Z moim panem... z hrabią Henrykiem...

— To jest niemożebnem! — Armand zawołał, dodając żywo, jakby mu niebo zesłało natchnienie. — Nie możecie kobieto widzieć hrabiego de Trameillan, bo... bo... hrabia Henryk umarł nagle tej nocy.

Podniosła głowę, patrząc wokoło okiem trwożnem i błędnem.

— Nie żyje?! mój pan drogi nie żyje?!... musiał i on ją tej nocy zobaczyć!...

Ukryła twarz w dłoniach, i dreszcz nią wstrząsł śmiertelny.

— Decydujcie się prędko — Armand naglił. — Przyjechaliśmy na waszą własną prośbę, ale gdy raz ztąd odjedziemy, już nie wrócimy więcej z pewnością! Róbcie sobie wtedy matko co chcecie! i radźcie sobie sami tak z żywymi, jak i... z umarłymi!

Skinął na swoich towarzyszy, i wszyscy trzej ku drzwiom się skierowali. Od progu zawróciła ich stara, błagając głosem złamanym:

— Czekajcie panowie!... czekajcie chwilkę!... Nie zechcecie przecie opuścić tak nielitościwie biedną staruszkę nad grobem!... Oh! w mojej głowie i tak ładu nie było!... a jeszcze ten upior!... ta wiadomość!... Mój pan drogi nie żyje?!... On! on! taki silny, jak nasze dęby!... Ha! Musiała i na niego urok rzucić!... Niema rady!... niema!... powiem wszystko!... dawno mię już to dusi w piersiach!... chwyta za gardło!... Zresztą!... cóż zrobicie mojemu panu, skoro i tak nie żyje!...

Zadumała się głęboko, a tymczasem urzędnicy zabrali się do spisywania jej zeznań.

— Myślałam, że całą tajemnicę do grobu poniosę!.. przez lat dwadzieścia strzegłam jej tu, na tem samem miejscu!... aby nikogo na próg więcej nie puścić... Przez lat dwadzieścia nikt się niczego nie domyślał!... A teraz mówić muszę!... Tak, muszę!... gdyż inaczej!...

Spojrzała w stronę łóżka w trwodze najwyższej.

— Eh! — głową potrząsła. — Lżej mi będzie! pozbędę się raz ciężaru, który żyć... oddychać mi nie dawał!... Skoro on nie żyje! mój pan najdroższy!... Panowie! — głos jej stał się tak głuchym, iż zaledwie można było go dosłyszeć. — Ja to... ja sama zastrzeliłam przed laty dwudziestu hrabiego de Mortrée... i ja własną ręką podałam truciznę Mariecie Toquenié...

Pomału, pomału, częścią z własnego popędu, częścią naglona pytaniami zręcznie rzucanemi przez Armanda, opowiedziała szczegółowo przebieg dramatu, który w tych miejscach rozegrał się przed laty dwudziestu.

XXIX.

W owym czasie węglarka zamieszkiwała na krańcu wsi chatę niepokaźną i przez pół w ziemię wrośniętą, która dawniej za szałas li służyła dla służby i psów sfory, podczas wielkich polowań. Mimo próśb i namowy usilnej hrabiego de Trameillan, aby w zamku wygodniej mieszkała, czem chciał jej wynagrodzić za poświęcenie i wierne usługi, oddawane mu w czasie wojny wandejskiej, nie chciała nigdy przystać na jego propozycję, przekładając życie dzikie i pracowite, ale za to zupełnie swobodne, zupełnie wolne. Często wracając z polowania, które było hrabiego rozrywką ulubioną, wstępował pan de Trameillan do chatki biednej i ustronnej, aby gawędząc ze starą Genowefą odpocząć chwilę. Rzecz dziwna! ale ta istota, tak wstrętna dla reszty świata, w nim budziła pewną sympatję. Może wzruszało hrabiego jej przywiązanie, jej poświęcenie bez granic. w którem był rodzaj egzaltacji, było uwielbienie fanatyczne dla jego osoby. To mu przypominało cześć, w jakiej żyli podwładni za czasów feodalnych, uważając panów swoich za pół-bogów niemal! Ta kobieta wiązała go z przeszłością minioną bezpowrotnie, którą tak podziwiał, i tak za nią szczerze żałował.

Raz nad wieczorem — było to w kwietniu — wstąpił do chatki ustronnej, a usiadłszy na ławeczce, zażądał od Genowefy szklanki jabłeczniku, który ona przyprawiała doskonale. Zamiast spełnić rozkaz natychmiast, węglarka stała przed hrabią nieruchoma, mierząc go wzrokiem dziwnym.

— No cóż?! — rzucił się niecierpliwie. — Pić mi się chce, czyś nie słyszała?

Pokręciła się po izbie, jakby szklanki szukała, wreszcie powziąwszy widocznie silne postanowienie, i uzbroiwszy się w odwagę odpowiednią, zatrzymała się przed hrabią i prędko zagadała:

— Panie! Nie powinienbyś tak wiecznie polować!

— A to dlaczego?! — hrabia groźnie brwi zmarszczył.

— Nie trzeba zamku opuszczać... Można wilka ubić nie tylko w lesie!... ale wtedy, gdy się wkrada do naszej owczarni...

— Co to wszystko znaczy?! Tłumacz się stara jaśniej! — krzyknął hrabia rozgniewany.

— Mam na myśli wilka drapieżnego, który kradnie to, co do pana mojego wyłącznie należeć powinno.

— Któż to taki?

— Hrabia de Mortrée...

— Słuchajno stara! Uwzięłaś się dzisiaj, jak uważam, aby mnie koniecznie do pasji przyprowadzić! — hrabia zbladł na wspomnienie człowieka, nienawistnego mu pod wielu względami. — Ta twoja mania mówienia ciemnego, zagadkowego, dobra dla głupiego motłochu, który wierzy w twoje z djabłem konszachty. Mnie nie nudź zagadkami, tylko powiedz krótko i jasno!

— Biedna sługa nieraz jeszcze karę odbiera, jeżeli w zbytnej gorliwości, ośmieli się panu prawdę wyjawić! Choćbyś mnie panie miał i zabić!... dłużej jednak tego nie zniosę!...

Przyklękła na jedno kolano, szepcząc do ucha hrabiemu:

— Pani hrabina i pan de Mortrée, mają schadzki to na leśniczówce, to w parku... także i pisują do siebie... a Marietta biega z listami do Marnes i z Marnes, aż lubo!

Hrabia porwał krzesło dębowe oburącz, i z rykiem, w którym nic ludzkiego nie było, cisnął z taką siłą o ziemię, że zgruchotane, rozskoczyło się po całej izbie. Następnie ruchem gwałtownym rzucił się do drzwi. Węglarka mu drogę zastąpiła.

— Panie mój! zastanów się chwilkę!... Chcesz go zabić, nieprawdaż?

— Oboje! oboje! — ryczał hrabia zapieniony, wpijając palce kurczowo w ramiona węglarki, aby ją od drzwi odepchnąć.

— Masz panie wszelkie prawo do tego! Ale trzeba ich wyłapać razem na gorącym uczynku... Potem, to już ja biorę wszystko na siebie... Wiesz panie mój, że tam!... gdzieśmy to razem walczyli... umiałam strzelać trafnie, i sprzątnęłam niejednego z niebieskich...[1]) Nie potrzeba, żebyś sam w to maczał ręce, i walał krwią jego... Pozwól mnie tylko działać... tak już wszystko mądrze przygotowałam, że sądowi oczy zamydlimy, i nie wmięsza się w naszą sprawę... Tylko mnie proszę całkiem zaufać, i udawać tymczasem, że się nie wie o niczem. Aby ptaszka dostać do klatki, nie trzeba mu sidełek pokazywać... Myślę ja już nad tem od dni kilku... odkąd podsłuchałam ich czułe gruchanie w parku, na ławce kamiennej pod świerkiem... Daruj panie twojej wiernej słudze, jeżeli śmie z radą wystąpić. Nie wracaj do zamku, bo gotowo być nieszczęście! Zostań tutaj. Hrabinie każesz powiedzieć, żeś zaproszony na dni kilka do margrabiego de Rieuset, lub gdziekolwiek indziej... Będzie się czuła wolną i z tego skorzysta. Musisz zadowolnić się, panie mój drogi, na ten czas tą nędzną chatą i wązkiem łóżkiem. Każdy daje to tylko, co może! Ja tymczasem będę dzień i noc na czatach. Wiem którędy wchodzi, złapię go niezawodnie! Dam ci znać panie, gdy chwila stanowcza nadejdzie.

Hrabia nie zdecydował się od razu na propozycję węglarki. Gwałtowność wrodzona popychała go raczej do czynu, aby natychmiast wywrzeć gniew i ukarać wiarołomną. Genowefa potrafiła go jednak zatrzymać, i uprosiła, żeby całego jej planu wysłuchał. Rozwijała przed nim powoli nić intrygi szatańskiej, którą obmotywała Mariettę i Jakóba, niby pająk przędzą swoją muszki biedne, skazane na pożarcie. Chodzą już głuche wieści, o romansie Marietty z panem de Mortrée, i o wściekłej zazdrości Jakóba... W danym razie, łatwo będzie zmylić trop, i sąd na fałszywą drogę wprowadzić.

Hrabia przemierzał lepiankę wszerz i wzdłuż ciężkiemi krokami. Nie zaprotestował, nie oburzył się na myśl, podsuwaną chytrze przez węglarkę, żeby skalać posądzeniem kobietę niewinną, żeby zwalić zbrodnię na jej męża! Trzeba było ukryć hańbę własną, trzeba było zapewnić sobie bezkarność, nie wyrzekając się przeto krwawej zemsty. Aby ten cel podwójny osiągnąć, każdy sposób wydawał mu się dobrym i godziwym.

[1]) *Les bleux*, nazywano w Wandei wojsko regularne.

— Poczciwa z ciebie sługa! — poklepał węglarkę po ramieniu, gdy mówić przestała. — Dobrze radzisz! Rozniеć mi ognia na kominie, usiądę w tem krześle poręczowem, i tak noc przepędzę.

Genowefa wyciągnęła z szafy tobołek niewielki, z sukien i bielizny. Rozwinąwszy, wydobyła ze środka krótki karabinek.

— To jego broń! — szepnęła. — Wzięłam z leśniczówki tak, że nikt nie widział, i tak samo podrzucę, gdy będzie po wszystkiemu! — oczy jej bure dziko błysnęły, i uśmiech szatański usta wązkie wykrzywił.

Hrabia tę noc i dzień następny w chacie przesiedział. W zamku cała służba była przekonaną, iż z polowania prosto zabrał go jeden ze sąsiadów.

Węglarka zaś przypomniała sobie dawne dzieje. Owinięta szarą płachtą, z kawałkiem chleba czarnego i manierką blaszanną ze spirytusem wódczannym, snuła się cicho i ostrożnie koło zamku, pomiędzy krzakami w parku, niby wilczyca szukająca żeru dla swoich szczeniąt.

Wreszcie nocy drugiej, gdy hrabia zdrzemnął się był przed płonącem ogniskiem, zapukano silnie do drzwi. Poszedł otworzyć. Węglarka wpadła z takim impetem, że o mało hrabiego nie przewróciła. Tchu jej w piersiach brakowało.

— Prędko! prędko! — krzyknęła.

— Cóż takiego? — hrabia pobladł śmiertelnie.

Nic nie odpowiedziała, tylko z pospiechem gorączkowym porwała z szafy karabinek, a nabiwszy kulą, przez ramię przewiesiła. Następnie ku drzwiom się rzuciła, niemym ruchem skinąwszy na hrabiego, żeby szedł za nią.

Biegła tak szybko, iż hrabia nie mógł jej nastarczyć. Mimo iż noc była dość ciemną, orientowała się w parku z pewnością zadziwiającą!

Stanęli wreszcie przed zamkiem. Węglarka wskazała hrabiemu fosę głęboką, która — co rzadkiem jest na wiosnę zjawiskiem — suchą była zupełnie. Przykucnęli oboje, jak strzelcy na zasiadce, gdy ma nadejść na nich zwierzyna oczekiwana. Słychać tylko było oddech świszczący w piersiach węglarki, która zdawała się upadać od zmęczenia.

Po chwili odpoczynku przemówiła cichuteńko do swojego towarzysza:

— Byłam przy „Męce pańskiej“, tam w Alaunes (na drodze do Marnes, włości należącej do pana de Mortrée). Widziałam go, jak z domu wychodził, płaszczem owinięty; szedł tutaj... tędy go wpuszczono!

Pokazała małe, boczne drzwiczki, do suteren zamkowych prowadzące.

— I nie ubiłaś go jak psa! — syknął hrabia przez zęby zaciśnięte. — Ten łotr u mnie?! u mnie?!... Genowefo! musisz mnie oddać nabity karabinek! — Oczy hrabiego zalśniły złowrogo.

— Nie, nie! Mówiłam już przecie, iż pana mojego ręce powinne zostać czyste.

Milczenie pomiędzy nimi zapanowało. Hrabia od czasu do czasu sapał z gniewu stłumionego. Każda minuta wiekiem mu się być zdawała. Gdyby w tej chwili był się spotkał oko w oko z wrogiem swoim, żadna siła nie byłaby go wstrzymała. Byłby się rzucił, jak zwierz dziki na zdobycz swoją, i bodaj rękami własnemi udusił, w braku innej broni. Takie doraźne wymierzenie sprawiedliwości, chociaż niezgodne może z wyższą cywilizacją, byłoby świadczyło o pewnej odwadze, byłoby w każdym razie stokroć szlachetniejszą zemstą, niż wstrętna zasadzka, rodzaj obławy, urządzonej przez chytrą i podstępną węglarkę, a na którą przystał tak chętnie hrabia.

Godzina tak upłynęła. Węglarka mruczała coś sama do siebie, widocznie zaniepokojona.

— Musiałaś się pomylić! — hrabia gniewnie przemówił. — Niepotrzebnie mnie trudziłaś!

— Ależ szedł tu niezawodnie! Od ostatniego wypadku z koniem, utyka na lewą nogę. Śledziłam go aż do ulicy kasztanowej... tu musiałam go zostawić, aby panu dać znać...

— Może dali sobie w parku *rendez-vous*?

— Noc nadto zimna... zresztą w pokoju wygodniej... Przecież wiedzą, że pana niema, żeś u margrabiego de Rieuset! — zarychotała głucho. — Nie myślę przecie, żeby mógł tak krótko zabawić!... i wymknąć się przez tę chwilę, kiedy do chaty po pana pędziłam?...

Rzuciła się naprzód, jakby gdzieś iść chciała. Tym razem wstrzymał ją hrabia energicznie.

— Cóż ci znów stara do łba strzeliło? — groźnie zapytał.

— Nic, nic, już tutaj zostanę! — głową potrząsła. — On w zamku być musi! Panie! Macie klucz od bramki, prowadzącej do skrzydła prawego. Otwórzcie po cichu i pójdźcie prosto do sypialni hrabiny. Jeżeli tam jest, wypłoszycie zwierzynę z legowiska, a ja już tu na nią poczekam.

Hrabia podniósł się szybko, aby rady usłuchać. Ta bezczynność, w takiem krwi wzburzeniu, była mu nad wszystko nieznośną.

— Tylko nie tykaj go panie! błagam najusilniej! Mnie go zostaw!

— A jeżeli chybisz?...

Zaśmiała się dziko:

— Na Boga! na zbawienie duszy przysięgam ci panie, że hrabia de Mortrée do jutra rana nie doczeka!

Uspokojony tą przysięgą uroczystą, hrabia oddalił się szybko, dążąc ku zamkowi.

(Dokończenie nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XV.

W godzinę potem pani de Planche-Mibray, okryta długim i lekkim płaszczem gutaperkowym, jechała konno obok pana de Villenave, przez las Frettoye.

Leon zawiesił strzelbę przez plecy, i włożył dwa pistolety w olstrę. Baronowa miała także w siodle damskiem wsunięty mały karabinek dwustrzałowy, który zgina się na dwoje i używany bywa przez myśliwych.

— Och! — mówiła jadąc wśród deszczu, wiatru i błyskawic, gdyż prawdziwa burza się zerwała — musimy go schwycić, schwycić koniecznie żywego tego nędznika!

— Będziemy robić co tylko można, moja ciotko — odpowiedział p. de Villenave.

— Żywego! — powtarzała baronowa — bo nie wart zginąć kulą żołnierza. Nóż na rusztowaniu, to jego śmierć! — I rozgorączkowana popędzała konia, a oczy jej błyszczały jak u lwicy.

Baronowa stała się znów cyganką, a cyganka pragnęła zemsty.

— Gdzież pan dałeś schadzkę temu człowiekowi? — zapytała.

— O kilka kroków — odrzekł p. de Villenave.

Znajdowali się właśnie koło rozdroża, otoczonego wielkiemi pieczarami skalnemi, gdzie nieraz myśliwi spóźnieni chronili się przed deszczem.

P. de Villenave pokazał te skały pani de Planche-Mibray przy świetle błyskawicy.

— Zaczekaj tu na mnie kochana ciotko — rzekł — i schroń się przed deszczem. Zresztą, ten człowiek jest bardzo niedowierzający. Spodziewa się zastać tylko mnie samego. Jeżeli zobaczy dwie osób na koniach zamiast jednej, gotów się przestraszyć i uciec.

Zdawało się to tak prawdopodobnem, że pani de Planche-Mibray nie zawahała się ani chwili. Stanęła z koniem pod skałą najwyższą, a p. de Villenave pojechał trochę dalej w las, potem przyłożył palce do ust i gwiznął, korzystając z chwili, gdy grzmoty ucichły.

Podobne gwiznięcie wkrótce mu odpowiedziało.

Potem postać jakaś zaruszała się pod drzewami i zbliżyła powoli.

— Czy to ty Michale? — zapytał Leon de Villenave.

— Tak, panie! — i postać ta zbliżyła się do Leona.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał.

— Tak, wszystko. Zresztą nie ma co wiele przygotowywać; wystarczy ten sznur, który okręciłem naokoło siebie. — Mówiąc to Michał podniósł bluzę, a p. de Villenave mógł rękami przekonać się, że w istocie kłusownik obkręcił się długim, mocnym sznurem.

— Chciałem pana zapytać — odezwał się Michał — czy nie moglibyśmy pomówić chwilę?

— To zależy, o czem chcesz mówić?

— Przyszła mi myśl jedna.

— Cóż takiego?

— Żebym nie wiedzieć jak uciekał, to gdy Munito dostanie się na skały, i gdy żandarmi go zatrzymają, wyda mu to się podejrzane, i domyśli się, że go zdradziłem.

— Trudno zrobić inaczej — odpowiedział p. de Villenave.

— Wiem o tem; ale jak będzie przed sądem, wygada się ze wszystkiem....

— To także możliwe.

— Powie, że to ja strzeliłem do pana de Maugeville.

— Nie uwierzą mu.

— Sędziowie wierzą zawsze, jeżeli kto powie co złego o biednych ludziach.

P. de Villenave nic nie odpowiedział.

— A zresztą — mówił dalej Michał — przecież i pan znasz się z nim troszkę, co?

— Nie widziałem go nigdy — odrzekł zimno p. de Villenave.

— On jednakże mówi inaczej.

P. de Villenave zamyślił się.

— Utrzymuje nawet — dodał Michał — że pan dałeś mu w Paryżu jakiś klucz.

— Milcz bałwanie!

— Dobrze, niech będzie, będę milczał... ale on?...

I Michał po chwili znów mówił:

— Trzebaby się postarać, aby nic nie powiedział...

— Tak, ale w jaki sposób?

— Właśnie przychodzi mi na myśl sposób...

— Jaki? — zapytał p. de Villenave ciekawie.

— Czegoż życzy sobie pani de Planche Mibray? — mówił Michał. — Chce go mieć umarłego lub żywego?

— Ale woli żywego.

— Tak, ale może przytrafić się nieszczęście...

— Żandarmi nie będą strzelać, chyba broniąc się i to w największej ostateczności.

— Nie mówię, że będą...

— A co do mnie...

— Ależ — mówił Michał dalej — nikt nie mówi, żeby kazać żandarmom strzelać do niego.

— Cóż myślisz zrobić?

— Czy patrzyłeś pan kiedy na dół ze skał Saussois?

— Cóż z tego?

— Między skałą a rzeką jest przestrzeń, mająca z dziesięć metrów. Droga prowadzi tamtędy.

— A więc?

— Właśnie pod otworem, w którym się ukrył cygan, jest kupa kamieni, które niedawno przywieziono, a które przeznaczone są na most, mający się tam budować.

— To uważałem.

— Otwór ten jest więcej jak na osiemdziesiąt stóp wysoko nad drogą.

— Tak.

— Przypuśćmy, że Munito upadnie z otworu na te kamienie, zabije się, a umarli nie mówią.

— Bez wątpienia, ale musiałby puścić się sznura, albo ty go puścić.

— Nic więcej?

— W takim razie wytłumacz się — rzekł Leon — bo tego nie rozumiem.

— Nie puszczę sznura, ani Munito nie puści także, ale sznur może się urwać.

— O! co to, to nadzieja wisielca!

— A jednakże sznur każdego wisielca urwałby się, gdyby go delikatnie nadcięto nożykiem lub nożem. I to właśnie zamyślam zrobić.

— Jesteś bardzo roztropny — szepnął Leon.

— Jesteś więc pan zadowolony?

— Zupełnie.

— Podoba się to panu?

— Tak. Ale chodźmy do pani de Planche-Mibray.

— Jakto! — zawołał kłusownik zdziwiony — i ona także należy do wyprawy?

— Tak jest. Nie wiem czy dwie noce spała od śmierci Maugeville'a.

— A więc — zaśmiał się Michał szyderczo — będzie zadowolona. Zobaczy mordercę nieżywego, bo ręczę, że nie podniesie się po tym upadku.

— Chodźmy! — powtórzył p. de Villenave.

— Jeszcze jedno słowo — rzekł Michał.

— Cóż takiego?

— Wolałbym teraz zaraz dostać pieniądze.

— Przewidziałem twoje żądanie — odpowiedział p. de Villenave — i wziąłem z sobą te dziesięć tysięcy franków. — I wyjąwszy pulares z kieszeni, podał go Michałowi.

— Możesz sprawdzić — rzekł — suma umówiona jest tam całkowita. — Potem puścili się obaj w drogę i połączyli z baronową.

Burza trochę się uspokoiła, deszcz padał mniejszy, i błyskawice były rzadsze.

— Skocz na mego konia z tyłu; jest mocny, uniesie nas obu — rzekł p. de Villenave.

Kłusownik usłuchał, i konie popędziły galopem.

Grunt w lasach Frettoye jest piaszczysty i ziemia nie rozmaka bardzo. Konie pana de Villenave i baronowej były nadzwyczaj rącze, przeto wkrótce byli za lasem, przejeżdżając jedna po drugiej wązkie ścieżki prowadzące do l'Yonny, a w pół godziny potem, baronowa wraz z swymi dwoma wspólnikami zemsty, przybyła do miejsca schadzki.

— Żandarmi już byli na miejscu. Po wymienionych kilku słowach, pojechali dalej.

Koło doliny dzikiej, gdzie nie było innego mieszkania prócz oberży pod Sową, musieli pozłazić z koni.

Niepodobieństwem było, aby żandarmi wdrapywali się na koniach po pochyłości tak przykrej, która prowadziła na skały.

— Kochana ciotko — mówił p. de Villenave — pokaleczysz sobie nogi na tych skałach.

— E, co tam! mniejsza! — zawołała strzepując płaszcz z deszczu.

— A jeżeli ten człowiek będzie się bronił... jeżeli kula go nie trafi....

Uśmiechnęła się.

— I cóż! — szepnęła — połączę się z Manuelem.

I baronowa puściła się pieszo po ścierzce nierównej i kamienistej, która prowadziła do góry, na skały. Szła nawet z takim zapałem, że p. de Villenave nie potrzebował podawać jej ręki.

Gdy przybyli do miejsca na wzgórzu, zkąd w dzień widać dokładnie rozciągające się płaszczyzny Nivernais, kilka jeszcze razy błysnęło się mocno, ale deszcz przestał padać.

Naczelnik żandarmerji, zgodnie z panem de Villenave, ustawił swoich ludzi na dziesięć kroków nad

brzegiem skał, zagradzając w ten sposób wszystkie wyjścia. Potem stanął sam z tyłu za Michałem Balthazar. który położywszy się na brzuchu, posunął się czołgając aż do brzegu przepaści. Odkręcił sznur z siebie i przyczepił go do skały. P. de Villenave przykucnął koło niego.

Co do pani Planche-Mibray, ta stała nieporuszona nad brzegiem przepaści, z włosami rozpuszczonemi, drżąca i rozgorączkowana, jaśniejąca odwagą.

— Zdaje mi się, proszę pani baronowej — rzekł z cicha naczelnik — że wszystko już gotowe.

Kiwnęła głową, chcąc powiedzieć: „Działajcie.“

Naczelnik żandarmów dotknął się ramienia Michała. Ten przyłożywszy palce do ust, wydał krzyk, podobny sowie, na który zwykle odpowiadał mu cygan Munito.

Upłynęła sekunda, potem dwie, nareszcie dziesięć. Munito nie odpowiadał.

— Spi — szepnął Michał.

I powtórzył raz jeszcze krzyk swój dziwny.

To samo milczenie.

— O! o! — mruknął p. de Villenave, brwi zmarszczywszy.

— Nie mógł jednak wyjść z tamtąd — odrzekł Michał — to niemożliwe.

— Sądzisz?

— Do kata! wszak trzeba koniecznie sznura, a on go nie ma...

I Michał powtórzył po raz trzeci krzyk sowy.

Pani de Planche-Mibray zaczęła się niecierpliwić.

Żandarmi zaś patrzyli na siebie, zdając się pytać, czy nie byli ofiarą jakiej mistyfikacji.

— Trzeba się jednak dowiedzieć co to znaczy — rzekł p. de Villenave, któremu pot wystąpił na czoło.

— Jakto?! — zapytał Michał.

— Trzeba, żebyś spuścił się do otworu.

Michał drgnął, gdyż przypomniał sobie sznur nadcięty, który nie dźwignie ciężaru jego ciała, a nie miał wcale ochoty roztrzaskać sobie głowy na kamieniach złożonych na dole koło skały. Ale jako dowcipny, wynalazł zaraz środek przeciw temu niebezpieczeństwu. Nie tłumacząc się, nie mówiąc ani słowa, odpiął sznur i dając koniec przeciwny panu de Villenave — rzekł.

— Oto dobry koniec!

Żandarmi nie zrozumieli. Ale p. de Villenave zrozumiał, że sznur był dłuższy i spuszczał się daleko niżej jak otwór i że zatem część nadcięta znajdując się niżej, nie będzie dźwigać ciężaru ciała Michała.

Sznur przyczepiono znowu do skały.

Wtedy Michał powtórzywszy jeszcze raz czwarty sygnał, a nie otrzymując odpowiedzi, zdecydował się spuścić.

P. de Villenave, naczelnik i pani de Planche-Mibray, nachyleni nad przepaścią, widzieli jak spuścił się po sznurze aż do otworu, potem wyciągnął nogi i sparł się:

— He, Munito! — krzyknął.

Munito nie odpowiedział.

Michał zniknął w rozpadlinie.

Pomiędzy widzami niemymi tej sceny, była chwila strasznego niepokoju.

Nagle Michał ukazał się z krzykiem szalonym.

— Ptaszek umknął! — zawołał.

W istocie Michał znalazł rozpadlinę próżną. Munita nie było.

Cóż się z nim stało? Jakim sposobem umknął?

Zaraz się dowiemy.

XVI.

Od dziesięciu dni Munito był więźniem w rozpadlinie skał Saussois.

Co drugi dzień, a raczej co drugą noc, Michał Balthazar przynosił mu koszyk z prowiantami i dwie butelek wina.

Michał zapewniał go, że schronienie jego było nieprzystępne i że nigdy go nie odkryją.

W pierwszej chwili po tej nowej zbrodni, to jest jak się wymknął od pani de Planche-Mibray, ten człowiek dziki, namiętny, szafujący swem życiem i krwią, doznał w sobie jakiegoś rodzaju przewrotu, jakiejś słabości i przestrachu. I wtedy to przestraszył się rusztowania, przestraszył żandarmów i prosił Michała o schronienie.

Ale samotność zahartowała znowu prędko tę naturę gorącą i dziką. Z loiką cygan zbadał wszystko i jak to mówią zrobił egzamin dokładny swego sumienia.

Dlaczego zamknął z pomocą siostry swojej, cyganki Dolorés, pana de Villenave? dlaczego kazał zamordować Michałowi Balthazar pana de Maugeville?

Bo kochał panią de Planche-Mibray!

Ale pani de Planche-Mibray, wierna pamięci swego narzeczonego, nienawidziła tego, którego oskarżała o śmierć jego i dowiodła mu to stawszy się chwilę cyganką i raniwszy go kilkakrotnie sztyletem.

Być więc kochanym przez nią byłoby złudzeniem, którego się musiał wyrzec Munito.

Ale mieć ją, posiadać, choćby jedną godzinę, jak żołnierz piany rabunkiem, jak bandyta szalony miłością, mniejsza choćby ją zabić potem, ażeby nigdy usta innego człowieka nie dotknęły ust jej, to było możliwe przecie! I myśl ta piekielna opanowała powoli umysł jego.

Z początku cygan był cierpliwy jak Indjanin przygotowujący powoli swą zemstę.

— Szukają mnie — mówił do siebie — i strzegą dobrze wejścia do zamku. Gdybym chciał teraz zaraz wejść tam na nowo, dziesięć kul by mię trafiło, nim bym zbliżył się do okna. Ale znużą się tem szukaniem, nadejdzie chwila, w której wszyscy nabiorą przekonania, że musiałem opuścić te okolice. Wtedy, wyjdę ztąd, i znajdę sposób dostania się raz jeszcze do zamku... dostania się do niej.... a wtedy..... wtedy... co mię obchodzi rusztowanie po tem!...

I nędznik skracał godziny swej niewoli dobrowolnej, pieszcząc się marzeniem ohydnej rozpusty. Chciał mieć baronowę w swoich objęciach choćby szaloną i złamaną. I powtarzał ciągle:

— I mieć ją muszę i będę miał!

Otóż, następnej nocy, po widzeniu się Michała z panem de Villenave w parku markiza B..., Munito, który zużył swoje prowianty, oczekiwał Michała, który krzykiem sowy zawsze mu zapowiadał przybycie swoje kilka minut naprzód.

Michał spóźnił się.

Nareszcie usłyszał sygnał.

Munito zbliżył się do otworu rozpadliny i podniósł głowę.

Jak zwykle w lecie, to ulewy, to pogoda, zmieniają się ciągle. Czas był prześliczny wczoraj, a tego wieczora deszcz padał i niebo było pochmurne. I Munito zaledwie mógł rozpoznać profil niedokładny w górze na skale.

— Czekaj mię! — zawołał Michał — zejdę!

I w istocie, Michał przywiązał sznur i spuścił się aż do otworu rozpadliny.

Od tej nocy, w której go umieścił w rozpadlinie, Michał nie spuszczał się ani razu i Munito zrozumiał, że musiało zajść coś nadzwyczajnego. W chwili więc, gdy tenże sparł się nogami na brzeg rozpadliny i puścił się sznura — zapytał z niejakiem wzruszeniem:

— Cóż się dzieje?

— Nic złego dla ciebie! — odpowiedział Michał.

Lecz zdawało się cyganowi, że głos jego był niepewny.

— Dlaczego spuściłeś się?

— Aby ci oznajmić dobrą nowinę. Znalazłem środek ucieczki dla ciebie.

— Gdzie?

— Do Paryża.

— Jakim sposobem?

— Obaczysz.

I Michał opowiedział Monicie, to co potem powtórzył panu de Villenave, że miał przyjaciela, któremu można było zaufać, flisaka, który jechał z Clamacy, prowadząc drzewo. Że ten przyjaciel, który miał nieraz do czynienia z sądami i był nawet więźniem przez pięć lat w Melun, obowiązywał się za wynagrodzeniem tysiąc franków, odprowadzić Munita do Paryża, a był nawet tak pewny swego, że nie żądał pieniędzy naprzód, ale aż na miejscu.

— Otóż — dodał Michał — masz podobno siostrę bogatą, jakeś mi mówił i ona da tysiąc franków?

— Bezwątpienia — odpowiedział Munito.

Wtedy Michał wytłumaczył mu, że flisak, który przyjedzie nazajutrz z drzewem do Coulanges, zabawi tam aż do wieczora i potem odjedzie późno, tak że już nikogo w polu nie będzie.

Gdy będzie już niedaleko skał Saussois, Michał da mu znać swym zwykłym krzykiem, poczem przyczepi sznur i Munito wydrapie się lekko na szczyt, zkąd zejdzie ścieżką pochyłą aż do brzegu rzeki, gdzie flisak go zabierze.

Michał dodał nawet:

— Aż do Sens, ukryje cię pod kupą chrustu. Gdy przepłyniesz już Sens, zgolisz brodę, przebierzesz się za flisaka i wszystko pójdzie dobrze.

Ponieważ Munito nic nie mówił Michałowi o swoim projekcie dostania się na nowo do pani de Planche-Mibray, nie miał potrzeby mówić coś przeciw tej ucieczce, która zdawała się zresztą dość dobrze obmyślana.

— Dobrze — odrzekł — a więc... do jutra.

— Do jutra — odpowiedział Michał.

Ale głos Michała drżał trochę i Munito mimowolnie drgnął.

Zapytał nawet sam siebie:

— Czy ten człowiek nie zdradza mię?

Ale cóż za interes mógł mieć Michał, zdradzać człowieka, którego był wspólnikiem? Trudne do pojęcia! Wydając Munita, czyż nie wydawał sam siebie?

Jednakże gdyby był miał przy sobie swój sztylet, ten sztylet, który mu zabrała pani de Planche-Mibray, a od którego jeszcze nosił ślady, byłby go może zatopił w sercu Michała, ulegając pierwszemu wrażeniu nieufności. Ale sztylet ten został w rękach baronowej.

Munito był bez broni, co więcej, krew, którą utracił, znużenie i niedostatek, które znosił od sześciu dni, znacznie go osłabiły, a Michał był silnym chłopem, i w walce na kułaki byłby z pewnością zwyciężył.

Munito dał mu więc odejść mówiąc: „do widzenia się jutro.“

Ale cygan nabrał przekonania, że jeżeli Michał nie zdradzał go, przynajmniej ukrywał coś przed nim.

Gdy kłusownik zniknął, podejrzenia i niepokój Munita wzrosły jeszcze bardziej. Nie zmrużył już oka przez noc całą.

Dzień nadszedł, a z nim podejrzenia zmieniły się w pewność. Munito ujrzał jakiegoś jeźdźca z drugiej strony l'Yonny.

Gdy jeździec ten był naprzeciw rozpadliny, zatrzymał się i podniósł głowę.

Cyganowi serce zabiło.

Wzrokiem przenikliwym rasy cyganów, Munito poznał go.

Byłto p. de Villenave. P. de Villenave, o którym sądził, że się znajduje w Paryżu, paląc opjum w objęciach Dolorés, cyganki.

Wtedy umysł więźnia rozjaśnił się nagle i pomyślał sobie: „P. de Villenave zbliżył się z pewnością do pani de Planche-Mibray, ofiarując jej swą pomoc w odnalezieniu mego schronienia. Za pieniądze wyrwał potem tajemnicę Michałowi Balthazar, obiecując mu bezkarność.“

Munito teraz obaczył się zgubionym i przemyśliwał jakim sposobem uniknąć niebezpieczeństwa.

Michał podnosząc się w górę zabrał sznur, a sznur ten to jedyne jego zbawienie.

Cygan zmierzył wzrokiem przestrzeń dzielącą skały od rzeki, ale była zanadto wielką, aby mógł skoczyć do l'Yonny. Zresztą skok taki musiał być śmiertelny. Ten, który by się o to pokusił, doleciał by na dół uduszony.

Cygan przebył ten dzień w strasznej obawie, jednakże nie bojaźń rusztowania przestraszała go, lecz przerażało go przekonanie utracenia swoich nadziei.

Jeżeli żandarmi schwycą go w chwili, gdy idąc za zdrajcą Michałem dostanie się na szczyt skał, czy obaczy kiedy tę, którą od dziesięciu dni przysiągł sobie posiadać i potem zamordować?

Dzień upłynął. Trawiony gwałtowną gorączką Munito nie jadł i nie pił.

Gdy noc nadeszła, deszczowa i ciemna, usłyszał świst.

Nie był to jednak sygnał Michała, który zawsze naśladował krzyk sowy.

Munito przybliżył się do brzegu rozpadliny.

Świst powtórzył się raz jeszcze.

Podniósł głowę i zobaczył człowieka w górze na skałach.

W tejże samej chwili, głos jakiś doleciał uszu jego, wymawiając imię: — Munito!

I Munito zdziwiony drgnął, bo poznał ten głos; był to głos cygana Fanfreluche.

Munito i stary galernik znaleźli się byli już razem, odkąd ten ostatni umknął z galer. Było to w ową noc zbrodni. W chwili, gdy Munito piany radością i zemstą, wpatrywał się w swego nieprzyjaciela wijącego się w konwulsjach śmiertelnych w kałuży krwi, człowiek jakiś położył mu rękę na ramieniu, wołając:

— Zabójco! zabójco!

Wówczas Munito przestraszony poznał cygana Fanfreluche i uciekł zostawiając nowego pustelnika przy konającym panu de Maugeville.

Odtąd Munito nie widział go więcej. Otóż był to Fanfreluche stojący na górze i wołający go po imieniu.

— Przychodzę cię ratować nieszczęśliwy! — odezwał się i spuścił sznur, dodając:

— Trzymam go dobrze... leź!

Munito, który już stracił był wszelką nadzieję, chwycił się tego sznura i wydrapał się po nim aż na szczyt skał, gdzie znajdował się Fanfreluche. Tenże był jak zawsze ubrany w suknie mnicha.

— Ach to wy?! — zawołał Munito.

— Ja — odpowiedział Fanfreluche.

Głos jego był poważny, uroczysty i Munito czuł się nim owładnięty. — Starzec wpatrzył się w niego.

— Szukają cię — rzekł — i rusztowanie cię czeka! Masz krwią zbroczone ręce i słuszne jest, żebyś swoją krwią zapłacił tę, którąś rozlał. Ale byłeś moim synem ulubionym przez wiele lat, także odwidzałeś na galerach starego galernika i on nie zapomniał ci tego. Dlatego to przyszedłem. Chodź za mną.

Munito pochylił głowę i milczał.

Starzec wziął sznur i rzucił daleko od siebie.

Potem, wsparty na długim kiju, zaczął pierwszy schodzić po ścieżce kamienistej, która prowadziła do doliny.

Burza zerwała się, a noc była strasznie ciemna, tylko błyskawice chwilami rozjaśniały czarne niebo.

Munito postępował za cyganem Fanfreluche, jakby był prowadzony na śmierć.

XVII.

Gdy byli już w dolinie, Fanfreluche rzekł do Munita.

— Jest dopiero dziesiąta wieczór, a noce są jeszcze długie. Możemy blisko dziewięć godzin iść spokojnie.

Munito drgnął.

— Dlaczego dziewięć godzin? — zapytał.

— Ależ przecie — rzekł Fanfreluche — spodziewam się, że nie myślisz zostać w tych stronach.

— Dlaczego nie?

— Bo żandarmi schwycili by cię.

— Wszystko mi jedno! — rzekł cygan głosem dzikim. — Nie boję się śmierci.

— Ale ja chcę cię uratować od rusztowania.

— Niech i tak będzie! — odrzekł Munito. — Dobrze, pojadę jutro.

— Nie, nie — rzekł stary galernik — znam wszystkie drogi w lesie. Przejdziemy Frettoye w prostej linji, obejdziemy miasteczko Courson i zostawimy Auxerre na prawo. Przededniem przejdziemy Joigny. Milę od tego miasta, jest domek osamotniony koło lasu. W domku tym mieszkają wieśniacy, których jestem pewien; ci ukryją cię... Jak noc nadejdzie, puścimy się znów w drogę.

Starzec przyspieszał kroku i rozprawiając tak, skierował się ścieżką prowadzącą z doliny w głąb lasu.

— Jakto? — zapytał Munito — wy chcecie mnie towarzyszyć?

— Naturalnie.

— Ale gdzież pójdziemy?

— Do Paryża.

Munito zaśmiał się szyderczo.

— Myślałem — rzekł — że suknia mnicha podoba wam się.

— Ubrałem ją — odpowiedział Fanfreluche — nie aby zasłonić samego siebie, ale by osłaniać i opiekować się drugimi.

— Kogoż chcecie osłaniać?

— Ciebie, najpierw.

— Dobrze. A potem?

— Potem — rzekł obojętnie starzec — to moja tajemnica.

Munito zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Szli teraz pod lasem, a deszcz lał tak okropnie, że suknie na nich kręcić można było. Munito mówił sobie w duchu:

— Ależ ja nie chcę opuścić tych stron.

Fanfreluche szedł tak prędko, jakby odzyskał siły młodocianne. Nagle Munito zatrzymał się.

— Zanadto mocny deszcz pada — rzekł.

— Mamy lato i deszcz nie jest zimny.

— Bolą mnie nogi — rzekł jeszcze cygan.

— Będą cię boleć jeszcze więcej w dniu, w którym będziesz wstępował na stopnie rusztowania.

— Pić mi się chce...

— Będziesz pił za chwilę. Jest tu strumyk nie daleko przy drodze.

— I jeść mi się chce! — dodał Munito, który wyszukiwał wszelkie możliwe preteksta, aby się pozbyć swego wybawiciela.

— Chodźmy dalej — rzekł starzec — przewidziałem to, że ci się będzie jeść i pić chciało i zostawiłem chleb i ser w otworze w skale, o ćwierć mili z tąd.

Munito nic już nie odpowiedział i szedł dalej za starcem.

W pół godziny potem przybyli do miejsca najbardziej dzikiego w lesie. Oprócz tego, że w miejscu tem las był najgęstszy, otoczony był jeszcze urwistemi skałami, w których gdzieniegdzie nawet widać było groty naturalne.

Fanfreluche poszedł ścieżką przez krzaki, a Munito szedł ciągle za nim.

Niedługo starzec zbliżył się do jednej groty. Potem schylił się, gdyż wejście do niej było wązkie i ciasne, i wsunął się pod skałę, czołgając się raczej niż idąc.

Tam zaczął coś szukać pomiędzy liśćmi suchemi, które wiatr nagromadził zeszłej jesieni i wyciągnął dwa krzemienie, które potarł razem. Iskry prysnęły, a Fanfreluche za pomocą kawałeczka hupki zapalił liście nagromadzone.

— Oto ogień — rzekł — który nas ogrzeje.

Munito ponury i dziki, zbliżył się do ognia. Jednakże nic nie mówił o jedzeniu i piciu.

Ale starzec poszedł w głąb groty i wyjął ten sam koszyk, który przedwczoraj Michał Balthazar widział w rękach Brehaigne.

W koszyku tym był w istocie chleb, kawałek sera suchego i butelka wina.

— Pij i jedz — rzekł i postawił koszyk przed Munitem. Ale ten odpowiedział:

— Nie chce mi się już jeść...

— A więc pij.

— Nie mam pragnienia. Wolę spać. — I położył się przy ogniu.

— Nie, nie! — zawołał Fanfreluche z wyrazem powagi — będziesz spał jutro, gdy dzień nadejdzie. Teraz trzeba iść.

— Jestem zmęczony.

— Gdybym miał cię nieść — rzekł starzec — musisz udać się w drogę.

Ale Munito postanowił zostać.

— A gdybym też nie chciał? — zapytał.

Fanfreluche spojrzał na niego surowo.

— Musisz jednak.

— Jestem zmęczony — powtórzył cygan flegmatycznie.

Fanfreluche spojrzał znów na niego.

— Kłamiesz — rzekł.

— Niech będzie — odrzekł Munito — przypuśćmy, że kłamię!

— Czy chcesz, abym ci powiedział, dlaczego nie chcesz puścić się w drogę?

I głos starca zdradzał gniew tłumiony.

— No, powiedzcie, dlaczego?

— Bo nie chcesz opuścić tych stron.

— To prawda.

— Ponieważ chcesz powrócić i kręcić się koło zamku de Planche-Mibray.

— To także możliwe!...

— Ale ja nie chcę tego! ja!

— A! wy nie chcecie?

— Nie.

Oczy Munita błyszczały, a serce biło mu gwałtownie.

— Wy nie chcecie? — powtórzył z dziką ironią. — O! to ważny powód!

Ale Fanfreluche stanął przed nim spokojny, dumny, nieugięty.

— Tak, ja nie chcę — powtórzył — bo chcesz popełnić zbrodnię...

— Może...

— Ależ to moja córka, nędzniku!

Munito zaśmiał się szyderczo.

— No, doprawdy! wszak wiecie, że tak nie jest! To córka Maugeville'a.

— Niech i tak będzie! — rzekł starzec — ale kocham ją, jak gdyby była rzeczywiście moją córką.

Munito wzruszył ramionami.

-- Przyrzekłem osłaniać ją — mówił dalej Fanfreluche.

— Przeciw komu?

— Przeciw tobie.

— Ja ją kocham! — zawołał cygan. — Czegoż się więc boisz o nią?

— Nędzniku!

Fanfreluche sparł się na kiju i stanął u wejścia groty, aby zasłonić wyjście cyganowi.

— Spojrz na mnie — rzekł — jestem stary, włosy mi zbielały... Nazywano mię kiedyś herkulesem, a i dziś jestem dość silny, aby cię zgnieść.

Oczy Munita pałały gniewem.

— Ojcze — rzekł — kochałem was..... szanuję..... ale nie właźcie mi w drogę.... bo stracę głowę.... Kocham tę kobietę, widzicie, kocham ją do szaleństwa, z zapałem i uniesieniem, z jakiem my kochamy, my synowie cygańscy!... Muszę ją mieć.... będę ją miał.... chcę!.... rozumiecie?!

Fanfreluche nic nie mówiąc rozpiął habit, a Munito, który był bez broni, obaczył pistolet za pasem u starca.

Starzec wyjął go i nabił.

— Co robicie? — rzekł Munito — czy myślicie mię zabić teraz?

— Zabiję cię, jeżeli nie udasz się natychmiast w drogę.

— Nie chcę.

— Zabiję cię, jeżeli mi nie przysięgniesz na swoje zbawienie, że uszanujesz panią de Planche-Mibray.

Munito zaśmiał się znowu.

— Ależ jeżeli zechce, ożenię się z nią! — zawołał z cynizmem.

— O! tego już za wiele! — krzyknął starzec.

I zmierzył do Munita.

— Przysięgaj! — rzekł.

Munito założył ręce na piersiach.

— Nic nie przysięgnę — odezwał się — bo gdybym przysiągł, dotrzymałbym mojej przysięgi. U nas cyganów to jedyna cnota.

— A więc -— rzekł Fanfreluche głosem poważnym i smutnym, ale który świadczył o postanowieniu niezłomnem — jeżeli wierzysz w Boga, módl się, bo ostatnia twoja godzina wybiła.

Munito odpowiedział bluźnierstwem.

— Umieraj więc! — zawołał starzec, i pociągnął cyngel od pistoletu, którego lufa wymierzona była wprost czoła Munita, stojącego przed nim z rękami założonemi.

Kurek spadł, łysnęło, ale pistolet nie strzelił. Namoknąwszy cały wieczór, spalił na panewce. Munito wydał okrzyk dzikiej radości.

— Ach! ojcze — zawołał — tem gorzej dla was! Chcieliście mię zabić, teraz nie kocham, ale nienawidzę was!

I rzucił się na starca, który wypuścił z rąk pistolet.

Obaj byli bez broni teraz, jednakże była to walka straszna i dzika, która wszczęła się między tymi dwoma ludźmi.

Stary herkules był silny jeszcze, ale Munito był młody, a podniecony gniewem i namiętnością walczył zawzięcie! Dwa razy Fanfreluche go zgniótł, dwa razy Munito się podniósł i walka trwała dalej. Nareszcie cygan wpadł na pomysł zdradziecki i podstawił nogę starcowi, który upadł. Ogień rozniecony przed chwilą palił się jeszcze. Myśl piekielna powstała w głowie cygana. Przydusiwszy kolanami starca zgniecionego i zwyciężonego, spostrzegł pistolet, który leżał na ziemi i podjął go.

Proch na panewce spalony był.

Ale było widocznem, że gdyby przybliżył pistolet do ognia, wypaliłby.

I zbliżył broń, którą skierował do starca, do gałązki suchej, która była między liśćmi zeschłemi, a która paliła się jeszcze.

Strzał padł.

Fanfreluche krzyknął przeraźliwie.

Kula trafiła go w głowę.

Munito do tylu innych zbrodni dołączał jeszcze jedną więcej, morderstwo, które było prawie ojcobójstwem, bo Fanfreluche miał o niem staranie rodzicielskie i żywił go swym chlebem.

Munito wyleciał z groty wołając:

— Do niej! teraz do niej!

I poleciał pędem przez krzaki, nie troszcząc się, czy starzec zginął na miejscu, czy oddychał jeszcze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.